№ 12. Warszawa, dnia 9 (21) Marca 1889 r. Rok XXV

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGAWĘDKA.

Była już chwila, w której się zdawało, że zima czmychać zamierza i pakuje swoje manatki; przyszła odwilż kilkudniowa, ale gdy się podniósł krzyk, że taka nagła abdykacya, *à la Milan*, białej monarchini może wywołać anarchią w naturze, że kiedy nagle ruszą lody przy nizkim stanie wód, potworzą się zatory, wylewy, powodzie, — zima się namyśliła i zatrzymała.

I mamy znowu mrozy, śniegi, chuchamy w palce i nosa nie śmiemy wystawić z podniesionego kołnierza, a ślizgawka, która w Warszawie stała się najulubieńszym *sportem* w ostatnich czasach, raduje dalej łyżwiarzy.

Może to i lepiej, że się wiosna nieco opóźniła po tych ostatnich zadymkach; może odwróciła niebezpieczeństwo, które groziło przy nagłych i gwałtownych roztopach.

Zresztą, tak już przyzwyczailiśmy się przez tych pięć miesięcy pod śniegiem do zimy i do ciepłego pieca, do palta i futrzanej szuby, iż chyba cały rok wytrzymalibyśmy w tej temperaturze.

Od Listopada do Kwietnia w naszym klimacie każdy miesiąc mógłby się śmiało nazywać grudniem a dla odróżnienia między sobą, Grudzień I, Grudzień II-gi i t. d.

Wielki Post, niby zziębły dziaduś nad garnuszkiem z węglami, siedzi z pochyloną głową i rozmyśla nad marnościami tego świata: głowę posypał popiołem i drzemie.

Możnaby powiedzieć, iż drzemie cała Warszawa, niewyspana jeszcze po ostatkach; tu i owdzie słychać o jakimś prywatnym raucie, ale publiczną widownią zalega cisza.

Przerwał ją jedynie Władysław Żeleński, który z Krakowa, gdzie się stale osiedlił, przyjechał w gościnę do Warszawy i przywiózł z sobą kompozycyi na cały koncert; co mówię: na jeden?— wystarczyłoby ich na trzy koncerty, może i na więcej.

Zeszłego Piątku w Salach Redutowych zaroiło się od publiczności na dole i na galeryach, a od muzyków, artystów, śpiewaków na estradzie; dyr. Rzebiczek z orkiestrą Teatru Wielkiego, Piotr Maszyński na czele „Lutni“, Seideman i p. Szlezygierówna, Barcewicz ze swemi zaczarowanemi skrzypkami, p. Aloiz ze śpiewną wiolonczellą, — złożyli się na wyjątkowo świetny i liczny komplet wykonawców tego koncertu.

Cały programat wypełniły same utwory Żeleńskiego.

Mało artystów u nas zasługiwało na tyle prawdziwego uznania i gorącej sympatyi, co Żeleński.

Rzecz rzadka, aby talent twórczy, wybitniejszy, nie posiadał zawistnych współzawodników, aby ukrytych niechęci nie budził, nie miał nieprzyjaciół, nie spotykał się z pokątną intrygą.

Żeleńskiemu nie poskąpiono uznania i sławy nie szarpano; życzliwych wielbicieli i przyjaciół liczy wielu, powodzenie jego nie drażni nikogo, nie zasypuje solą oczu, nie wywołuje oppozycyi.

Poza talentem i zamiłowaniem dla sztuki widnieje czysty, prawy, szczery i otwarty charakter człowieka dobrego, w natchnieniu czuć ducha poety, a wszystko razem składa się na niepospolitą indywidualność artystyczną.

Nie porywam się na krytykę Żeleńskiego, jako kompozytora; do kogo innego to należy. Muszę wszelako o nim powtórzyć to, co w dowcipny sposób on sam wyrzekł o sobie w odpowiedzi na toast, którym go Alexander Zarzycki uczcił na przyjacielskiem zebraniu po koncercie piątkowym, podnosząc jego zalety jako zacnego człowieka i dzielnego artysty.

— Panowie — mówił na podziękowanie —raczcie braki człowieka policzyć mi na rachunek artysty, a braki artysty wybaczyć przez wzgląd na człowieka.

Powiedział to, jako dowcip, w chwili dobrego humoru, ale niechcący stwierdził prawdę, której zaprzeczyć nie można, znając go bliżej; obie wartości równoważą się i dopełniają w nim wzajemnie.

Nie mieliśmy sposobności poznać pierwszej jego opery ze sceny warszawskiej; jednę pieśń Aldony tylko: „Któż me westchnienia, któż me łzy policzy?“ — usłyszała publiczność na koncercie kompozytorskim.

Obecnie wykończa Ż. „Balladynę“ i tę przyrzekł nadesłać do Warszawy po całkowitem opracowaniu.

Koncert i pobyt Żeleńskiego rozruszał trochę nasze sfery muzykalne; w bieżącym tygodniu mamy powitać drugiego gościa, z polskiem wprawdzie nazwiskiem, ale zaliczającego się do muzyków niemieckich. Z Berlina przyjedzie głośny i niepospolity kompozytor Maurycy Moszkowski, znany u nas z symfonicznych koncertów i z estradowych popisów pierwszorzędnych pianistów swojskich i zagranicznych.

Przyjeżdża na zaproszenie Towarzystwa Muzycznego i urządza koncert również z utworów własnych, a dochód przeznacza na powiększenie funduszów, zbieranych na budowę gmachu dla tegoż towarzystwa.

Niewątpliwie melomanów ściągnie wszystkich do Sal Redutowych; byłoby wstydem dla nas, gdybyśmy nie zapełnili sali ze względu na cel, który przyjeżdża talentem swoim poprzeć obcy artysta.

Zresztą samo porównanie dwóch talentów, tak bezpośrednio w jednym koncercie po drugim, powinno wzbudzić większe zajęcie wśród publiczności, uchodzącej za znawczynią i miłośniczkę muzyki.

Nie chcę tej opinii kwestyonować i zastanawiać się nad nią; zresztą pod tym względem obcy artyści miewali zwykle lepsze o nas zdanie, aniżeli swojscy.

Nie psujmy im illuzyi. Zatem z muzyki (p. Russel ciągle zamyka kassę) nie miałbym nic ważniejszego więcej do zanotowania.

W teatrze gościł na dwóch scenach, Wielkiej i Rozmaitości, p. Roman Żelazowski, utalentowany artysta ze Lwowa, i wystąpił trzy razy w Urielu" „Zbójcach" i „Montjoye." Nie można, przy całem uznaniu dla młodego tragika, powiedzieć: *omne trinum perfectum*; z tych trzech popisów najlepiej wypadł pierwszy, najmniej korzystnie ostatni.

Żelazowski ma talent niezaprzeczony i warunki niepospolite, wyszedł z dobrej szkoły, najlepszej, można powiedzieć, jaką w ostatnich czasach mógł mieć aktor polski, bo zaczynał swój zawód pod kierunkiem St. Koźmiana w Krakowie.

Opracowuje intelligentnie każdą rolę, znać, że myśli nad nią, że rozumuje i stara się być konsekwentnym, traktuje poważnie sztukę i z gorącem zamiłowaniem, a należy do rzadkich wyjątków na scenie, które przyjmują krytykę rozsądnie, z wdzięcznością, bez żółci i goryczy.

Rwie się do wielkiego stylu i tragedyi; trzeba mu to policzyć za zasługę wobec tego, że bardzo niewielu dzisiaj artystów na polskich scenach reprezentuje ten kierunek; we Lwowie on, w Krakowie Rygier, w Warszawie Ładnowski i Kotarbiński—i koniec.

Indywidualność Żelazowskiego i warunki, jakiemi rozporządza, bardziej się wszelako nadają do współczesnego dramatu; z tą grą skupioną, spokojną, opanowaną reflexyjnie, wyrażającą lepiej tłumioną namiętność, niż szczere i gorące uczucie, jakby unikającą śmiałych wybuchów i zapału,—artysta lwowski lepszym jest materyałem na bohaterów we fraku, niż w klassycznej todze i kostyumie średniowiecznym, chociaż owiele effektowniej w nim wygląda.

Charakterystyczne to jakieś znamię całego pokolenia młodych artystów naszej doby, że wnoszą z talentem i intelligencyą, nawet na scenę, pewien wrodzony chłód, pewną powściągliwość, zbytnie dążenie do miary i wspólny brak... serca, czy-to w patosie tragicznym, czy w komicznym humorze.

Tem się tłómaczy, że budzą podziw bez zapału, że nie porywają publiczności najsilniejszemi nawet akcentami.

Gdybym miał użyć porównania, powiedziałbym, że są podobni... do pieca, wystawionego z wszelkiemi warunkami teoryi ogrzewania, z powierzchownością ozdobną i effektowną na oko; ale, niestety, w tym piecu się nie pali, ten piec nie grzeje: jest zimny z natury, nie z wystudzenia, a co najgorsza, że nawet rozpalić w nim niéma z której strony.

Przyznaję, żem się zdobył na porównanie bardzo prozaiczne, ale wydało mi się ono najtrafniejszem w tym wypadku.

Miewałem niekiedy sposobność rozmawiać z pewnym bardzo starym teatromanem, który bywał jeszcze na parterze w teatrze na Placu Krasińskich, a pamięta pierwsze występy Żółkowskiego; słuchając jego opowiadań z tych czasów, jego wrażeń dotąd niezatartych, jego zachwytów nad artystami owej daty, zapytuję siebie: o czem my po pięćdziesięciu latach będziemy mogli opowiadać naszym wnukom z takim zapałem? co nam zostanie w umyśle z dzisiejszych wrażeń, jakie daje scena,—współczesne talenta?... i odpowiedzieć sobie nie umiem.

Jeden Żółkowski pozostał z epoki wielkich artystów na polskiej scenie, którego pamięć przetrwa i sławy teatralne bieżącej doby...

W tym tygodniu rozpoczyna się nareszcie szereg prelekcyi, urządzanych co roku na korzyść Towarzystwa Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych; pierwszy wstępuje na katedrę Dr. Ochorowicz, przybyły umyślnie z Paryża z odczytem swoim „O różnych stanach hypnotycznych, z uwzględnieniem zastosowań leczniczych." Jest to jeden z tematów najbardziej zajmujących dla „szerszej" publiczności, która dużo słyszy o rzeczy prawie cudownej w naszym wieku, a nie ma o niej należytego pojęcia.

Z innych prelegentów ogłoszenie wymienia: Dr. pr. Antoniego Donimirskiego, redaktora *Niwy*, który opowie nam „O Kaszubach"; Mag. pr. Alexandra Jawornickiego, adwokata z Kalisza i znanego podróżnika, który będzie mówił: „O kulturze plemion przyrównikowych w Afryce." Następnie dwaj kandydaci praw: p.p. Edmund Plebiński i Adolf Suligowski, wystąpią na katedrę; pierwszy pouczy nas o kwestyi zabezpieczenia losu robotników w odczycie „O instytucyach dobroczynnych", drugi zaś rozbierze kwestyą: „Jak my mieszkamy i o mieszkaniach ze stanowiska społecznego."

Professor Uniwersytetu Krakowskiego, Dr. Władysław Szajnocha, ma wygłosić swą nader zajmującą i nową w wyzyskaniu danego materyału pracę: „O Stanisławie Staszycu, jako geologu", zaś Dr. Władysław br. Lesser, professor uniwersytetu lipskiego, jako specylista uczony, rozwinie swoje poglądy „O wpływie nowoczesnej chirurgii na zdrowotność społeczeństwa."

Dla *szerszej* publiczności przyzwyczajonej do tematów bardziej literackich, z katedry prelegenckiej w sali ratuszowej, takie tytuły, jak powyższe, mogą się wydawać mniej ponętnemi, jednak przedmioty poruszane powinnyby być nader zajmujące dla intelligentnych słuchaczy; nie łatwo się ma sposobność spotykać z niemi w książce lub pismach peryodycznych żywe słowo prelegentów zająć może i pouczyć, najtańszym kosztem popularyzując rzeczy ciekawe, mało znane, a pożyteczne.

Towarzystwo Osad Rolnych potrzebuje zasiłku, ciężary jego zwiększają się z każdym rokiem, a źródła dochodów się wyczerpują; niegdyś prelekcye dawały po 5.000 rs., kiedy były w modzie, szeregi karet zajeżdżały na plac teatralny przed ratusz, zwożąc połowę *high-lifu* warszawskiego, do sali docisnąć się było trudno, bilety rozrywano, jakby na premierę jaką sensacyjną.

Ale czas ostudził ten zapał, dwa lata temu odczyty przyniosły... deficyt, fawor publiczności odwrócił się i sala ratuszowa rozbrzmiewała tylko... echem żywego słowa.

Towarzystwo ma do utrzymania dzisiaj 156 wychowańców, 407 uwolnionych z zakładu poprawczego potrzebuje ciągle jeszcze jego opieki, zamierzone urządzenie przytułku poprawczego dla dziewcząt skazanych i zaniedbanych wymaga gromadzenia dziś już odpowiednich funduszów na ten cel.

Wszystko to względy przemawiające za poparciem odczytów, których znaczenia, pożytku i wpływu nie potrzebuję chyba szerzej i jaśniej motywować.

*

* *

Filantropia syreniemi głosami i wabikami zjednywać sobie publiczność zwykła, ale w ostatnich czasach wzięła się na praktyczniejsze sposoby: zaczęła zrywać z poezyą, a bardziej skuteczną prozą się posługuje.

Zamiast koncertu, zabawy kwiatowej, rautu lub herbatki wielkopostnej, Towarzystwo pań protektorek „Macierzyństwa" urządziło sklep, otworzyło handel galanteryi, sprosiło pewne grono dam na kupcowe i przez pięć dni w zeszłym tygodniu sprzedawało w lokalu przy ulicy Berga swoje towary, złożone z fantów zbieranych u osób prywatnych i w magazynach.

Mnóztwo gustownych drobiazgów, niżej kosztu sprzedawanych, rozeszło się w ciągu tych dni pięciu, a sklep roił się publicznością, nawet uboższą, i przyniósł około tysiąca kilkuset rubli dochodu.

Cała ta summa zasiliła fundusze „Macierzyństwa", a zasługa pomysłu i wykonania należy się energicznej inicyatywie i udziałowi p. Konstantowej Górskiej, oraz pań protektorek, które jej z niestrudzoną pośpieszyły pomocą.

Musiała się udać taka „wenta", na której kupujący robił po prostu dobry interes, bo nie tylko nie przepłacał naddatkami towaru, ale dostawał go taniej, niż w sklepach galanteryjnych z rączek bardzo uprzejmych i wdzięcznych kupcowych, wśród których najwytrwalszemi były pani Leowa, żona redaktora *Gazety Polskiej*, z dwiema córkami, Heleną i Janiną, pani Dr. Natansonowa, pani marszałkowa Korwin-Piotrowska z córką Konstancyą, a *eo ipso* pani Konstantowa Górska, jako główna przedstawicielka tej dobroczynnej entrepryzy.

W dniu 29-go b. m. towarzystwo dam św. Wincentego à Paulo urządza swój doroczny raut muzykalno-deklamacyjno-gawędziarski w salach ratuszowych. Ta cicha instytucya robi dobrze z ewangieliczną skromnością; utrzymuje i wspiera kilkaset rodzin, rozdaje pieniądze, żywność, ubranie, węgle i lekarstwa w ogólnej wartości kilkunastu tysięcy rubli rocznie, a wspomina o tem lakonicznie, raz jedyny, w sprawozdaniu drukowanem, w którem liczby zastępują słowa i są argumentem najbardziej przemawiającem do przekonania i uznania.

Tu znów panie Hortensya Małachowska i Ludwikowa Górska główne pokładają zasługi.

Ze świata literackiego i dziennikarskiego, w ogóle z dziedziny druku, nie mam wiele nowości do nadmienienia; winienem chyba wspomnieć o odmłodzeniu się prababki naszej prassy, sędziwej, zasłużonej *Gazety Warszawskiej*, która zmieniła swą fiziognomią, powiększyła format i ożywiła pojedyncze rubryki.

Sto szesnasty rok żywota zaczęła tedy korzystną reformą.

Z Galicyi przysłano wiadomość o powziętym zamiarze uczczenia pomnikowej pracy Karola Estreichera, który dokonał olbrzymiego dzieła w swej *Bibliografii*, spisawszy cały nasz drukowany inwentarz od czasu zaprowadzenia druku w Polsce. Estreicher uczcił siebie sam najbardziej takim pomnikiem, który w literaturze, nie tylko naszej, pozostanie jedynym, ale wdzięczne społeczeństwo powinno ze swej strony dać mu wyraz wdzięczności i uznania.

Otóż w tym celu ma być dla dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej wybity medal na uczczenie niespożytych jego zasług, jako autora „Bibliografii polskiej".

*

* *

Za parę miesięcy obchodzonym ma być jubileusz Juliusza Kossaka w Krakowie, który kończy pięćdziesiąt lat twórczej pracy w dziedzinie sztuki. Czynią się już przygotowania w gronie artystów do uświetnienia tego obchodu; ale, mojem zdaniem, i literaci powinniby się przyłożyć do wyrażenia hołdu swego znakomitemu akwarelliście, illustratorowi Mickiewicza, Pola, Jeża i innych pisarzów polskich.

Zasługi Kossaka i stanowisko jego w sztuce naszej godne są głośnej publicznej owacyi; lat pięćdziesiąt wytrwale pracował na stanowisku i był prawdziwą chlubą polskiego malarstwa jeszcze wtedy, gdy się na taki rozkwit jego, jak dzisiaj, nie zanosiło.

W Poniedziałek znów Józef Bliziński w gronie literatów krakowskich przyjmowany był jako solenizant i jubilat; ze współczesnych komedyopisarzów naszych, twórca „Marcowego Kawalera", „Rozbitków" i „Pana Damazego" ma prawo do największej sympatyi i uznania, jako autor zarówno pod względem niepospolitego, swojskiego na wskroś talentu, i jako człowiek, pełen ujmujących zalet.

Bliziński późno wziął się do pióra, dlatego dzisiaj po sześćdziesiątce dopiero spotyka go wyraz uznania zbiorowy, który ma być dopiero wstępem do właściwego uczczenia jego pisarskiego jubileuszu i zasług w literaturze dramatycznej położonych.

Oby mu zdrowia, sił i humoru starczyło jeszcze długo dla dobra oryginalnego naszego repertoaru!...

Quis.

„DWORZANIN"

przez

Floryjana Łagowskiego.

(Dokończenie.)

Do nader zajmujących, powiedzmy: bardzo pięknych, ustępów w książce należy obraz kobiety. Pozwala on powziąć czytelnikowi dzisiejszemu wysokie wyobrażenie o ówczesnych mężczyznach i daje im chlubne, bądźcobądź, świadectwo.

Pominiemy tu szczegółowe wskazówki, choć są one bardzo zajmujące i trafne, o tem: jaka winna być piękność kobiety, w jaki sposób podnosić ją przystoi, i t. d.; zaznaczymy tylko, że ówczesne pojęcia nakazywały kobiecie dobrze wychowanej „mieć wielki dowcip, dobre baczenie, nie być hardą, zawistną, plotką, butliwą, swarliwą, kłamliwą, sprosną, ni o kim źle nie mówić..... Co się tyczy rozumu, tedy nietylko wrodzonego ale i nabytego z ksiąg jej potrzeba. A przeto ma czytać, ma jaką muzykę przystojną umieć. Nakoniec radbych to widział, żeby się niemal na tem wszystkiem rozumiała, co dworzaninowi umieć przystoi, nie przeto, aby tego używała, ale żeby rozeznać mogła, kto w czem godniejszy".

Przeciwko tej nauce kobiet, oraz przeciw swobodzie, jaką autor im przyznaje, występuje oppozycya i bardzo surowa krytyka kobiet wogóle, nieoszczędzająca i Polek. Obrońca jednak—uzbrojony w cały arsenał cytat z historyi starożytnej, z Pisma Świętego i z filozofów greckich—energicznie dowodzi praw kobiety, przypisuje wiele ich wad i win — winom mężczyzn, nadużywających swoich przywilejów, wykazuje, że kobiety w rozumie mężczyznom są równe, a w cnocie może od nich i wyższe. Ale gdy się już tyle swobody przyznaje kobiecie, to jakiegoż jeszcze przymiotu żądać trzeba, aby utrzymał ją w równowadze śród tylu niebezpieczeństw, jakie jej zagrażają?

Odpowiada się na to, że *„mądra powaga z dobrocią złączona* (słowa Górnickiego) jest jakoby mocną tarczą przeciwko niewstydliwym..... i więcej sobie człowiek każdy jedno słówko skłonne, jeden najmniejszy znak ludzkości takowej białogłowy, waży, niż największe zalecanki, największy pokaz łaski drugiej". Mądra powaga z dobrocią złączona! Niejestże to wszystko, a przynajmniej wszystko, co najważniejsze, a czego pragnąć potrzeba, dla urzeczywistnienia ideału etyczno-społecznego? Pomyślmy tylko: co to za potężne przymierze duchowych sił człowieka: charakter i umysł — godność i wdzięk!

Rozprawy te kończy bardzo piękny ustęp, z którego tu przytoczymy choćby drobną cząstkę. „Aza kobiety wielekroć nie są przyczyną, iż się rozum człowieczy ostrzy i śmiałości w bitwie dostaje? Pewna rzecz jest, iż w które serce raz iskierka miłości wpadnie, już tam sprosna myśl, bojaźń, nikczemność nie może popasać. Albowiem kto miłuje, stara się uprzejmie, aby go było przecz (*za co*) miłować, i strzeże tego pilnie, żeby za czem nietrefnem nie przyszedł we złe mniemanie tam, gdzie o dobro najwięcej stoi; za nic u niego niebezpieczeństwo wszelkie, chromota śmierć; owo nie masz tak srogiej rzeczy, którejby się nie rad na każdą godzinę poważył, aby to jedno dał znać, iż godzien jest onej, o którą się stara, miłości" [4]). A dalej: „One wszelakiego pożytku na świecie są początkiem. A i te miłe a krotochwilne zabawy zniknąć-by musiały, by (*gdyby*) nie białogłowy. Abowiem, ktoby się muzyki, ktoby się tańcu uczył, (*jeśli*) by nie dla upodobania białym głowom; ktoby wirsz, abo rym pisał, by nie dla tego, iżby affekt swój, który za łaską, albo niełaską białej głowy uroście, nim wyraził? Siła poet greckich i łacińskich nie mielibyśmy byli, by byli poetowie wysoce sobie białych głów nie ważyli. I teraz, ile się tego na każdy dzień z mądrych głów rodzi, tyleśmy za to cnocie piękności, obyczajom białychgłów powinni, bo na tem poeta pospolicie, jako na gruncie, wirsz swój sadzi. A co więtszego, Salomon, z którego mądrością niczyja na świecie mądrość nie dorówna, chcąc pod zasłoną pisać głębokie rzeczy o Bogu, uczynił w księgach swych (*Pieśń nad pieśniami*) rozmowę pary ludzi, w wielkiej miłości s sobą, abowiem, iż nie widział tu między nami na świecie nic podobniejszego do rzeczy niebieskich nad miłość, rozumiał temu, iż za rozczytaniem jej mieliśmy niejako dochodzić i smakować onych rzeczy niewidomych, które jemu przez rozum a łaskę Bożą widoczne i jasne były" [5]).

Po rozpatrzeniu zdań pisarzów XVI stulecia o kobiecie — słusznie powiedział p. Tarnowski: „Jest w tem coś więcej, aniżeli piękny styl i wymowa, coś więcej, aniżeli wiadomość o wychowaniu i wykształceniu kobiet i wyobrażeniu mężczyzn o nich, i ustępy te czynią zadość, nietylko naszej ciekawości, ale i narodowej chlubie. Bo niezawodnie miarą szlachetności i moralnej wartości mężczyzn w narodzie jest ich wyobrażenie o kobietach. Gdzie kobieta jest szanowaną, gdzie jej godność ma powszechną wiarę, tam mężczyzna jest rycerskim, rodzina dobrą i przykładną, społeczeństwo zdrowem. Gdzie zaś kobieta uważana jest nizko, gdzie łatwiej i powszechniej wierzą ludzie w jej złe skłonności, aniżeli w jej godność; gdzie cnota jej budzi niedowierzanie, jako rzecz wyjątkowa i nie podobna do prawdy — zły to znak, dowód cynizmu w obyczajach, za którym idzie cynizm w pojęciach i przekonaniach wszystkich. Kobieta łatwo stanie się taką, za jaką uchodzi; ale mężczyzna, który taką kobietę filozoficznie uznaje, przyjmuje, sam się nie opatrzy, jak z tymsamym spokojem, z tymsamym cynizmem przyjmie rozstrój swojej rodziny, swego społeczeństwa i ojczyzny i samego swego charakteru. Kiedy naród zatraci poczucie wstydu w jednej rzeczy, która wstyd budzić powinna, dochodzi najczęściej do tego, że wszelki wstyd znieść musi, a co gorzej może, niczem się nie zawstydzi i nie zgorszy."

O czwartej księdze *Dworzanina* powiem, że równie zajmująco i rozumnie a niekiedy nawet z urokiem stylu, rozprawia nasz pisarz XVI wieku o miłości, o pięknie, o ideale rządu, króla, o wielkich panach, o cnocie ludzkiej i obywatelskiej. To, co przytoczyłem z księgi trzeciej, wystarczy chyba czytelnikowi, aby go zachęcić do rozejrzenia się w dziele samem [6]).

Rzecz prosta, że w książce tak obszernej, dotykającej życia i natury ludzkiej, muszą być rzeczy większej i mniejszej wartości etycznej; że są rzeczy, które nie na każdego równie dobrze oddziałać mogą; że nie wszystko tam jest budujące. Prawda, że grzechy to tylko powszednie, grzeszki nawet jedynie, ale są, a niebezpiecznemi stać się mogą, jeśli je wynosić zechcemy na wysokość zasady panującej — jak to poniekąd czyni w swej monografii prof. Tarnowski.

Humanista XVI w. nie mógł odczuwać wszystkich subtelności etycznych, i jest to bardzo naturalne, że ich nie odczuwał Górnicki. Nie wolno zapominać, że wiek ów takie przecież rzeczy, któreby się nam dzisiaj cynicznemi wydały — uwielbiał, jeśli tylko nosiły na sobie znamiona piękna zewnętrznego. Ale oddawszy sprawiedliwość Górnickiemu za to, co pierwowzór jego „Dworzanina" był aprobował, wypada także zaznaczyć i to, co dzisiaj razi, choć wówczas za cnotę było poczytywane.

Otóż w *Dworzaninie* ubieganie się o piękno zewnętrzne w formie stoi na równi z pięknem moralnem; podane są tam sposoby, sposobiki, sztuczki podnoszenia owego powierzchownego piękna, a wszystkie te środeczki występują jako godziwe i dobre. Ztąd przyjęcie wszystkiego bez pewnych zastrzeżeń rozbudzić może *próżność*, *obłudę*. Naturalnie, dla czytelnika wytrawnego *Dworzanin* tylko korzyść przynieść może; dla młodego, a ze skłonnościami do próżności, będzie poniekąd oliwą podniecającą płomień. Nie zniechęcamy przez to do czytania owej książki i ludzi najsurowszych zasad; owszem pragniemy, aby książkę tą czytali: rozświetla ona bowiem przyszłość, uczy, jak postępować, aby życie prywatne, towarzyskie uprzyjemnić, i wogóle ma wiele stron najwznioślejszych moralnie; ale ostrzegamy, aby młodzieży odczytywać z niej tylko te najpiękniejsze ustępy, albo przynajmniej rozmawiać z nią o treści książki i właściwie oświetlać to, co się w niej znajduje [7]).

Zakończymy to sprawozdanie życzeniem, abyśmy poznawali życie przodków we wszystkich jego objawach, a przytem, abyśmy częściej chcieli zastanawiać się nad życiem towarzyskiem i jego formami; abyśmy starali się uszlachetniać te stosunki, bo tylko wobec nadętej, a więc pseudo-mądrości, jest to rzecz małoznaczna. W gruncie rzeczy zaś jest przeciwnie: każdy z nas poza godzinami swojego życia publicznego, czy obowiązków—znaczną część czasu spędza wśród koła rodzinnego, kolleżeńskiego, towarzyskiego. Ileż chwil wskutek gburowatości, szorstkości, braku delikatności — mamy zatrutych; ileż przysporzylibyśmy sobie przyjemności, rozkoszy nawet — gdybyśmy się postarali formy te uszlachetnić! A przecież życie nasze ciężkie, losy często nieubłagane: osładzajmyż je sobie przynajmniej tam, gdzie to od nas zależy.

SŁOWA A CZYNY.

POWIEŚĆ

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

— Panie hrabio, my tu wszyscy za panem Janem,—uprzedził go Gryzio. Dla nas szkoda czasu.

Hrabia nie dowierzał Gryziowi, przeczuwał szyderstwo, wytrwał jednak w naiwności, odpowiadając:

— Kiedy tak, to dziękuję panom. Odwrócił się i odszedł.

Pułkownik siedział chmurny, rozważając, jak się wytłómaczyć przed magnatem ze swego wystąpienia. „Gdyby Rębowski nie cofał się, mógłby przejść, a gdyby Stańczyki wystąpili z radykałem, toby się oni, a nie my zbłaźnili. Pierwszy raz w życiu wystrychnięto mnie na dudka. Lecz któż mógł przeczuć, że Połacki przyjedzie?

Kartki wyborców, zwinięte w tutki, zapełniły kapelusz.

— Wzywam panów Gryzieckiego i Raciborskiego do zrobienia skrutynium — rozkazującym tonem zakommenderował pułkownik.

Gryzio i Raciborski zbliżyli się do stołu. Raciborski rozwijał kartki, czytał półgłosem i oddawał pułkownikowi, Gryzio notował. Wyborcy, zbici w gromadki, słuchali.

Pełna oczekiwań i niepewności chwila trwała dziesięć minut.

Pułkownik powstał, wyborcy hurmem oblegli stół.

— Pan Jan—wygłosił uroczyście—trzydzieści głosów, Radwan trzydzieści dwa. Pan Radwan zatem wybrany.

---

4) *Dzieła wszystkie* T. I, str. 172/3. (*P. Red.*)

5) *Dzieła wszystkie* T. I, str. 173/4. (*P. Red.*)

6) Całą księgę trzecią czytać dziś jeszcze można z rzetelnem zajęciem. Zajmuje się w niej Górnicki, za przewodem Castiglioniego, kobietą, mając przed sobą głównie kobietę polską XVI w. Roztrząsa tu i sprawę równouprawnienia umysłowego. Piękną wiązankę myśli o stosunku młodych do starych, dziś jeszcze nie bez znaczenia, znajdujemy w księdze drugiej. (*Przyp. Red.*)

7) Bardzo dobrze, rozumnie dobrane wyjątki z *Dworzanina* na użytek młodzieży podała w swych *Rozrywkach* Hoffmanowa,—o czem już wyżej. (*Przyp. Red.*)

Zwolennicy Radwana zaczęli bić *bravo*. Gryzio pierwszy mu powinszował.

— Podziękuj pan, przemów—zachęcał go.

Gdy Radwan usłuchał, idąc do stołu, hrabia na środku sali wdział kapelusz, machnął ręką i, zwracając się do Gałdzińskiego, głośno przemówił:

— Chodź, pułkowniku. Proszę panów na śniadanie.

Idąc naprzód, oparty na ramieniu pana Jana, dodał ciszej, lecz tak, aby go słyszano:

— Co tam słuchać bredni jakiegoś kommunarda! Dość, że się powiat skompromittował w oczach rządu i kraju. Co ja powiem cesarzowi, gdy mnie spyta?

Na twarzach Stańczyków malowało się przerażenie. Na ulicy hrabia stanął i, zwracając się do pana Jana, dodał:

— Chciałeś służyć krajowi, poświęcić czas i zdrowie, lecz gdy nie chcą?!... Wsiadł do powozu, wskazując przy sobie miejsce pułkownikowi. Gałdziński spojrzał po szlachcie, chwilkę walczył i podziękował. Miejsce jego zajął pan Jan.

— Czekam panów na sali w starostwie.

— Skłonił się ręką.

Odpowiedź szlachty zagłuszył turkot kół odjeżdżającego powozu.

— A my naprzód, do marszałka—zakommenderował Gałdziński.

Gryzio uprzedził wszystkich, zdając przed Rębowskim rapport o zaszłych wypadkach.

W sali została gromadka piętnastu z Radwanem. Śmieli się głośno, dowcipkując na temat nieudałej zdrady Stańczyków, gniewu starego hrabiego, niechęci pułkownika i upokorzenia pana Jana przez magnata.

— Kto łaskaw, proszę do Grabin — zakończył ogólną wesołość Karol

— Dziesięciu zdradziło—przerwał opowiadanie Gryzia wzburzony marszałek.

— Jeszcze dwie podobne przegrane, dwie wizyty magnata i wodzenie się jego pod rękę ze szlachtą, a mało kto zostanie—wołał Gryzio w największej passyi.

Drzwi się szeroko rozwarły, wszedł pułkownik z resztą niedobitków.

— Kochany Stasiu—zaczął poważnie — pobiliśmy Stańczyków malutką większością. Bo też sprawa była arcy-niepopularna. Radykały żartowali sobie z nas głośno, panu Janowi rzucili w twarz dorobkowiczowstwo, i to im się udało. Podczas mowy hrabiego sykali... I żebyśmy my, osiadła szlachta, pchali na swe własne stanowiska dzierżawców, młynarzy i żydów, prowadzonych przez zręcznego ambitnika—powiedzmy prawdę, żeśmy wielkie osły. Stało się, i nie odrobimy tego, a hrabia czeka ze śniadaniem. Będzie to nadzwyczaj zręcznie, jeżeli pod pozorem, żeś tylkoco przyjechał, pójdziesz tam. Kto wie, na co ci się magnat przydać może? W końcu, ty Stasiu, jako marszałek, powinieneś go w imieniu szlachty przywitać w swej stolicy. Rzadki to gość i wielki pan.

Marszałek dał się namówić i poszedł. Gryzio wrócił do domu, Tadeusz pojechał do Rębowa.

Tak się skończył pamiętny dzień 16-go Września, zapisany w rocznikach politycznego życia naszego powiatu.

VII.

— Adasiu, muszę ci powinszować: dzisiejszem drapnięciem dowiodłeś, że masz wyborny węch—mówił wesoło pan Jan, wchodząc do jadalnego pokoju.

Matka z synem siedzieli przy wieczerzy. Syn zerwał się na przywitanie ojca, matka wyciągnęła do męża rękę.

— Czy się stała jaka awantura? — zapytał rozciekawiony Adam.

— Gorzej, bo coś jakby zdrada.

— Radwan?

— Raczej my Radwana.

— I ojciec zostałeś wybrany?

— Jeszcze gorzej.

— Rębowski?

— Nie—Radwan.

— Mój Adasiu, dajże ojcu odpocząć — przerwała indagacye syna pani Helena. Niechaj się najpierw posili, a potem przy herbacie po kolei spokojnie od początku do końca opowie.

— Niedaleko do końca,—odparł pan Jan. Rębowski, przeczuwając przegraną, niespodzianie zrzekł się kandydatury, a wtedy hrabia Połacki ufny w blask swego nazwiska, nie radząc się nikogo, postawił moję. Radwana poparli marszałkowicze: upadłem dwoma głosami, lecz partya Rębowskiego rozbita; Gałdziński skaptowany przez hrabiego, szlachta poszłaby w ogień za magnatem, tak jej schlebiał, prawił komplimenta, żartował, opowiadał wiedeńskie anegdotki, małe tajemnice dworu. Słowem: jest to mistrz kaptowania. Rębowski oczarowany... Hrabia pytał się o ciebie wobec całej szlachty i niby od niechcenia dodał: „Przyjedź jutro do mnie z synem na obiad. Co myśli robić?“

— Służyć—odpowiedziałem.

— Jutro się naradzimy—zakończył.

— Jak to się wybornie składa—szepnęła półgłosem pani Helena.

— Tem bardziej, że dziwnym zbiegiem okoliczności jestem niemożliwy w okolicy,—dodał Adam.

— A to dlaczego?—spytała matka zdziwiona.

— Na samym wstępie wejścia mego w świat zdradziłem Rębowskiego i Radwana, a oburzyłem sekretarza.

— Co to za świat?—odparła, wzruszając ramionami.

— Świat naszej okolicy, kochana mamo.

— Adaś ma racyą—poparł ojciec syna.—Z Radwanem i jego przyjaciołmi nie należy brawować. Wyobraź sobie, gdy hrabia polecał mnie na kandydata, zaczęli sykać i wołać: „zdrada!“ A gdy Raciborski wychwalał marszałka, jeden z nich zawołał: „Dosyć tych blag.“ Śmieliśmy się z tego z hrabią serdecznie; lecz to nie przeszkadza, aby ta hołota nie składała się z awanturników na wszystko gotowych.

— Gdzież to Adaś z tymi ludźmi będzie się spotykał?

— Wszędzie—przerwał żonie pan Jan—w mieście, na drodze, mogą zrobić zasadzkę! Samaś przed chwilą powiedziała, że się wybornie składa. Jutro jesteśmy na obiedzie. Hrabia napisze Adasiowi list rekommendacyjny do namiestnika, poleci go dobrze, zaręczam—i wszystkie salony lwowskie odrazu dla niego otwarte...—W upojeniu radości pocałował żonę, uściskał syna i zaczął chodzić po pokoju, rozprawiać i giestykulować.

— Czas oddania polecającego listu hrabiego namiestnikowi nie powinien trwać dłużej, nad tydzień, nie dłużej. Nareszcie po co się ociągać? Im wcześniej zacznie służbę, tem prędzej będzie namiestnikiem. Obyś się tylko podobał hrabiemu, ujął go i oczarował, jak hrabia Rębowskiego.

— Jeżeli tak postanawiasz, że Adaś musi jechać,—jadę i ja z nim — zawyrokowała matka.—Trzeba mu wyszukać mieszkanie, umeblować, urządzić—chłopiec niepraktyczny.

— Dobrze, jedźcie; nie mam nic przeciw temu, —oświadczył pan Jan. Ja zostanę, dopilnuję siewów, i gdy już Adaś wejdzie w świat, stanie na nogach, zajmie swe krzesło w namiestnictwie, zostanie przyjęty do końskiego kasyna, zjawię się. A teraz—dawajcie jeść! Odwiozłem hrabiego do domu; jestem głodny, jak wilk, zmęczony, spracowany.

Syn z matką układali szczegóły podróży i urządzenia się we Lwowie; pan Jan jadł, słuchał, potakiwał głową, oczami mrugał, dorzucał do rozmowy jakiś wyraz, przypominał szczegóły i w zamyśleniu uśmiechał się do rozkosznych swych marzeń.

Późno w nocy, gdy małżonkowie znaleźli się w sypialnym pokoju, pan Jan, jakby się obawiał, aby go nie podsłuchiwano, pochylił się do żony i mówił prawie szeptem:

— Nie mogło się nic lepszego stać nad to, że Adaś wyjeżdża.

Pani Helena spojrzała na męża pytająco.

— Wyobraź sobie, że ten chłopak naprawdę zakochał się w Julci.

Pani Janowa uśmiechnęła się litościwie.

— Nie pojmuję twej passyi robienia gwałtem naszego syna idyotą—odparła poważnie.

— Moja droga, my się nigdy nie możemy zrozumieć i nie zrozumiemy do końca.

— Porozumienie od ciebie zależy: patrzeć na sprawy i rzeczy ludzkie tak, jak się przedstawiają.

— Jeżeli chłopak potrzykroć prosi mnie, abym go z Julką ożenił, muszę przypuszczać, że się w niej kocha.

— Ale to musiało być tak tylko... *pour parler*.

— Piękne mi „pour parler,“ jeżeli oświadczył, że byle z Julcią, to poprzestanie całe życie na mieszkaniu w pawilonie pałacu.

— Dzieciństwo i chwilowe mrzonki młodego chłopca.

Przypuszcza jakieś nieszczęście dla siebie, jeżeli się z nią nie ożeni.

— A jednak z łatwością dał sobie wytłómaczyć.

— Nie tłómaczyłem, lecz zmusiłem go groźbą.

— I cofnął się: a widzisz? Hrabia Józio jakież to robił awantury z ojcem, mając romans z córką swego dzierżawcy! Nie przypominasz sobie?—płakał.

— Dajże mi raz pokój z twoim hrabią Józiem! To skończony głupiec.

— Ty Adasia robisz stokroć większym.

— Większym lub mniejszym, nie w tem rzecz. Cieszę się, że jedzie, i proszę cię, nie zatrzymuj go ani jednej godziny dłużej. A nuż zobaczy w miasteczku Julkę, spotka się z nią w przejeździe. Sceny, płacze, spazmy... Chłopak mimo pozornego chłodu, daję ci słowo, jest, jak na naszego syna, nadto sentymentalny.

— A z ciebie, mój drogi, stary romantyk—odpowiedziała spokojnie pani Helena.

— Dobrze, dobrze—pochwycił pan Jan, i umyślnie przerzucając się na inny przedmiot, dodał:

— Nie wątpię, że chłopcu ładny appartamencik wyszukasz. Należy go urządzić popańsku, wszystko *massiv*, w najlepszym gatunku, żadnej tandety. Dobry smak i styl. Lecz tego wszystkiego we Lwowie nie znajdziesz, i jestem pewny, że pojedziesz do Wiednia.

— W przejeździe wstąpię do domu, zdam ci rapport—oświadczyła dumna ze swej roli matka.

— Tymczasem, codzień listy będę odbierał. Adaś nie lubi pisywać, gdy ty?...

— Bądź spokojny. Ach, gdybym spotkała we Lwowie lub Wiedniu Matyldę! Ma być w tych czasach.

— Pisała?

— Dziś otrzymałam list Szuka, ma nadzieję, prosi o cierpliwość...

— Dobranoc.

Pan Jan zamknął oczy, aby się oddać rozkosznym marzeniom, i kołysany przez nie, zasnąć.

VIII.

Niespodziewany wybór Radwana, dobrowolne na pozór ustępstwo marszałka, zrobiły w powiecie wielkie wrażenie. Niewtajemniczeni zaczęli snuć najrozliczniejsze domysły. Raptowny wyjazd Adama do Lwowa silniej jeszcze rozbudził fantazyą. Opowiadano, że po zdradzie stańczyka Rębowski zdecydował się oddać córkę radykałowi, że pożyczył od niego znaczną summę, że mu puszcza w dzierżawę Rębów, przyrzekł zrobić go marszałkiem... Dotychczasowe, niewzruszone niczem stanowisko marszałka zaczęło się chwiać, gwiazda jego zbladła. Pierwsza przegrana wstrząsnęła organizmem i zachwiała zawsze pogodny, optymistyczny jego umysł. Przybyła mu garść siwych włosów, zmarszczki na twarzy zarysowały się wyraźniej.

— Przegrałem—powtarzał, chodząc godzinami po pokoju—przegrałem i to tak głupio. Radykały się śmieją, Stańczyki tryumfują—solidarność rozbita. Należy znowu spękane kawały zlepiać cementem nowej działalności, nowej idei.—Nowe jednak pomysły nie przychodziły. Powoli opuszczała go wiara w siebie, w swą potęgę. Zwątpił nawet o swej popularności. W oczach żony i córki nadrabiał miną, silił się na wesołość i uśmiech, lecz ich obałamucić nie potrafił. Odgadywały walkę, jaką toczył sam z sobą.

Gdyby nowe odniósł zwycięztwo, wróciłaby dawna swoboda umysłu i pewność siebie, pomysły sypałyby się jak z rękawa, humor nie odstępowałby go, wiara w swą gwiazdę wzmocniłaby organizm.

— Jeżeli wystąpię—rozważał—Stańczyki znowu połączą się z Radykałami i będą razem głosować na radykała lub stańczyka. Chcąc ich rozbić należałoby abdykować na rzecz jednego z nich i w końcu stać się śmiesznym. Jeżeli podam rękę radykałom, większa połowa moich głosów przejdzie do Stańczyków. A jeżeli się połączę ze Stańczykami, pan Jan zacznie mnie w tej chwili spychać ze stanowiska i brać godności jedne po drugich. Do Radykałów mam wstręt; Stańczyków, ich arrogancyi i buty, nie znoszę... Czekajmy...

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXVII.

Ojciec Konstanty, komedya w 3-ch aktach przez pp. *L. Halevy*, *H. Crémieux i Decourcelle*, tłómaczenie *I. Sarneckiego* — poraz pierwszy w Teatrze Rozmaitości dnia 9 Marca r. b.

Ojciec Konstanty był pierwej powieścią, zanim się przeobraził w utwór sceniczny. Czytaliśmy wszyscy przed laty tego *Abbé Constantin*. Jako dzieło Francuza, wyróżnialiśmy go od innych współczesnych powieści francuzkich czystością moralnego powietrza, którem osoby żyjące w utworze oddychają. To powietrze stanowiło główną zaletę powieści. Jedna tylko postać matki letkiewicza Pawła była charakterem ujemnym, ale i to więcej przez głupotę i próżność, niż przez rdzenne moralne zepsucie. Sam ojciec, a raczej ksiądz, Konstanty, proboszcz w Longuevalle, w powieści rysował się nader wdzięcznie i w takiej pełni psychologicznej, że miał prawo nazwiskiem swojem jaśnieć na tytule utworu. Całość sprawiała wrażenie idealistycznej reakcyi przeciwko naturalizmowi i sensualizmowi powieściopisarstwa francuzkiego. Tak ją też zrozumiano we Francyi i autora uczczono za nią tak jakby nie powieść napisał, ale czyn obywatelski spełnił. Była to cześć ponad zasługę: Halevy'emu chodziło o nowość, nie o cnotę: uderzył w nową strunę, aby zaciekawić i zebrać sławę i grosze. Nadzieja go nie zawiodła, rachunek był dobrze zrobiony: znalazła się i wziętość i pieniądze—i nawet wstęp do przybytku Nieśmiertelnych.

Sztuka dramatyczna we Francyi znajduje bardzo silny bodziec w zamiłowaniu Francuzów do teatru. Gdzie sala widzów tak pełna, tam i kasyer nie potrzebuje drzemać, czekając na publiczność, a Francuz, który dla popierania materyalnych interessów intelligencyi literackiej umiał założyć nawet stowarzyszenie międzynarodowe, nie zaniedbał u siebie tak się urządzić, żeby część kassy przechodziła stale do jego kieszeni. Systemat nieustannie płynących odsetków od wpływu ze sprzedaży biletów zachęca nawet licencyatów, pachnących jeszcze szkołą, do pisania sztuk teatralnych. Kto nie ma talentu, ten znajdzie w sobie zawsze spryt; komu nawet sprytu braknie, ten weźmie sobie jaki przedmiot drastyczny pod względem obyczajowym i, jeżeli tylko nie jest zupełnym niedołęgą, zrobi kassę,—wielką lub małą, nie na wielkiej, to na małej scenie,—ale zawsze zrobi. Literatura dziwnie się tu plącze z przemysłem i spekulacyą. Ukochany Mammon jest rzeczywistym demiurgiem dzisiejszej sztuki scenicznej Francuzów branej *en masse*. Nie byłoby i połowy tej ilościowo ogromnej wytwórczości, gdyby nie nadzieja złapania franka latającego w powietrzu. Szczególnie powieściopisarze przerabiający przeczytane już powieści na niewidziane jeszcze dramata — ulegają gorączce złota. Wiadomo, jak na nią choruje Zola — głęboki myśliciel, sztukmistrz i prawodawca naturalizmu, i jakie go spotykają wypadki na scenie.

Nie inne pobudki skłoniły i Halevy'ego do przeprowadzenia *Abbé Constantin* z książki na scenę. W pierwszej robocie wyręczyli go panowie Crémieux i Decourcelle; on spełnił tylko ostatnią: oczyścił, wyrównał i wygładził. Ta robota trzech ludzi mogłaby być bezpiecznie robotą jednego: uscenicznienie wyrządziło krzywdę powieści, która od komedyi jest znakomicie wyższą. Wyższość ta jednak nie przeszkodziła utworowi scenicznemu mieć z jakie dwieście pełnych sal i tyleż, oczywiście, pełnych kas w Comédie Française. We Francyi, gdzie pornokracya, wiarołomstwo małżeńskie i sofistyka obyczajowa trzymają dramat w zawzięciu, takie dwieście przedstawień sztuki czystej, nieoswajającej ze złem, niewyrabiającej w duszach neutralności wobec moralnej zgnilizny—jest istotnie faktem dodatnim i stwierdzającym społecznie-wpływową wartość utworu. Nie sądzę, aby tego wpływu—a wogóle wpływowi teatru na życie nie trzeba znowu zbyt wielkich kół zakreślać — *L'Abbé Constantin* dorobił się przez wartość swoję wewnętrzną jako dramat: miał tylko szczęście do publiczności paryzkiej — a szczęście to wielki sprzymierzeniec i wielki tyran w życiu ludzkiem.

Nie byłoby nic złego, gdyby się sztuka taka, jak *Ojciec Konstanty*, utrzymała i u nas; pragnąćby nawet tego można dla publiczności, która, ile się bawi, otyle zyskuje, przepędzając czas na sztukach niedziałających szkodliwie na nerwy, na imaginacyą, na umysłowe podstawy moralności. Dobre i źdźbło.

Na uscenicznieniu najwięcej stracił sam Ojciec Konstanty. W powieści rysował się plastycznie, widzieliśmy go czynnym w jego zawodzie i jakoś pełnym w duchu,—czuliśmy w nim umysł cichy, skupiony, ale samodzielny; w dramacie jest on postacią bierną, raczej malowaną nowellistycznie, niż rzeźbioną w kształty, jakich oko na scenie pożąda. Nie wiem: może artysta (p. Rapacki) nie dostatecznie wniknął w zamiary autorów; ale, zdaje mi się, że sami autorowie nie wniknęli dostatecznie w istotę postaci powieściowej. Jest to nieszczęściem przemysłu dramatycznego, że jego produkta muszą być odrazu wytwarzane jako dramata i rzadkokiedy z użytego już raz tworzywa da się wyrobić coś zupełnie zadawalniającego. Powieść ma przestrzeń i czas, jakich nie może posiadać dramat; ma świat zewnętrzny rozleglejszy od tego, na jaki dramatyczność pozwala; ma mnóztwo drobiazgów, których dramatowi tykać nie wolno; ma opisy i umyślne rzuty pióra,—niedające się wprowadzić na scenę; ma nakoniec—i to najważniejsze,—większą swobodę, nawet rozpasanie w kształtowaniu charakterów. Nieskończenie łatwiej jest skutkiem tego napisać zajmującą powieść, niż dramat, a zpod dramatu przerobionego wylezie prawie zawsze surowy jego materyał—powieść. Chroma właśnie na to przemysł teatralny.—Najwierniej, przeniesiono z powieści do sztuki scenicznej stosunek pani Lavardens do syna. W niewielu rysach, w *a parte* aktu I i rozmowie II-go, zebrano to, co treść obu charakterów stanowi. Amerykanki są przeważnie powieściowe, a ponieważ scena między Janem, nieśmiałym młodzieńcem, i Bettiną, aż nadto śmiałą panną, scena, po której młody officer rzuca swój garnizon, aby nie być zablizko ognia, jest i w powieści dramatyczną—psychologicznie dramatyczną: nic więc dziwnego, że i w akcie II komedyi żywe wzbudza zajęcie. Jest tu pewne podobieństwo pomiędzy Janem i Bettiną Halevy'ego a Markiem i Ireną panny Maryi Rodziewiczówny w *Dewajtysie*; ale jakaż na korzyść powieściopisarki naszej ogromna różnica w ożywieniu duchowem, w wewnętrznej sile i ruchu obu charakterów, zwłaszcza męzkiego, któremu również godność serce przed miłością zamyka, ale który w tej godności swojej jak wogóle w całym charakterze, jest o wiele głębszym od Francuza! Jan Reybaud przy Marku—to prawie chłopaczek.

Najdramatyczniejszym jest akt II, głównie w zakresie działania trzech charakterów młodych; tylko ani sabotów, ani parasola, ani okrycia Bettiny nie trzeba uważać za jakieś czynniki komizmu. Akt III ma dwie niespodzianki, ale nie dla widza: jednę chce urządzić zacny proboszcz, ukrywając powrót Jana, drugą jemu znowu zgotowała podwójnie bogata Amerykanka, sprawiając do kościoła nowe organy; ale obie nie wystarczają do dramatyczności, a to, co się odbywa pomiędzy Pawłem Lavardens, Bettiną Percival i Janem Reynaud—jest już tylko łagodnem rozwiązywaniem węzła, sprawiającem przyjemność, ale nie wzbudzającem już żywego zajęcia. Wogóle sztuce braknie ześrodkowanych, wyrazistych nawet w wątłości swojej—o ile ta jest tematem—charakterów. Cały akt I, chwalony za swą poetyczność, podobać się może, choćby, jako miły sielski obrazek; ale komedya wychudłaby na sielskości, gdyby jej nic więcej nie dano. Nic tu niéma wybitnego, a opowiadanie pani Scott o przeszłości własnej nie zastąpi dramatycznego ruchu.

Rolę tytułową odegrał p. Rapacki. Nazwisko samo ręczy za to, że rola nie była zepsutą, ale czy była należycie wyzyskaną? Mam pewne wątpliwości; nie stawiam twierdzenia. Gdyby w samej sztuce ten Ojciec Konstanty był wyraźniejszym, obserwacya porównawcza miałaby oparcie stałe; przy danem zaś ukształtowaniu charakteru niepodobna wydzielić z całości niedoboru tej części, za którą artysta sceniczny sam już odpowiedzialność ponieść musi. Niewielką rolę pani Lavardens odegrała dobrze pani Niewiarowska. Pani Lüdowa miała *prezencyą*—prawie wszystko, czego od niej wymagano. Sielska prostota w akcie I była tylko skutkiem wdzięcznego układu, żywego temperamentu i pięknej zjawiskowości artystki. Zresztą pani Scott wcale w sztuce nie działa. Bettina znalazła wcielenie swoje w pannie Czaki — trochę za poważne — może i za zimne. W akcie II trzeba wydobyć więcej siły. Niema gra naiwnych inną być musi, niż młodych zakochanych bez naiwności. Wogóle postać, a nawet twarz, panny Czaki nie odpowiadała wymaganiom roli. P. Tatarkiewicz dobrze przysłużył się sztuce, która miała być w Sobotę wystawioną, a w Piątek znalazła się naraz bez roli Jana Reybaud. P. Prażmowski nagle zachorował na oczy, a ponieważ sztuka, do której wymalowano aż trzy nowe dekoracye, sztuka już nie nowa, musiała przecież raz wejść na scenę, p. Tatarkiewicz przeto, pracując dzień i noc, w ciągu dwudziestu czterech godzin wyuczył się roli swego kollegi. Trochę to tam nie było wszystko tak, jakby sam artysta pragnął, ale szło wogóle składnie. P. Tatarkiewicz niejednę rolę jeszcze dobrze, nawet doskonale, grać będzie, ale—młodości już nie zagra. Wyrok to, który się na nas wszystkich spełnia.

Stanisław Krzemiński.

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań, Luty 1889 r.

(Dokończenie).

Obszerna sala pałacu hr. Działyńskich zasługiwałaby sobie rzeczywiście na osobną monografią. Ileż w niej wymownych rozbrzmiewało głosów, ile dzieł sztuki lub przemysłu polskiego do popisu tu stanęło! W ubiegłym miesiącu urządzona tania wystawa robót terminatorskich i kobiecych nową do roczników owych murów przydała kartę, wystawiając piękne świadectwo postępom naszej czeladzi przemysłowej. Tylko bowiem roboty uczniów przypuszczone zostały do tego popisu, który zasłużył sobie na uznanie samej nawet obcej i niechętnej prassy. Przypomniała ona mianowicie dobrą sławę „poznańskiego trzewika", utrzymywaną statecznie przez dzisiejszych polskich szewców. Wyroby bednarskie i koszykarskie, prace stolarskie, wchodzące w zakres snycerstwa, modele żelaznych narzędzi rolniczych, roboty introligatorskie i t. d., przedstawiały się w korzystnem spółzawodnictwie. Dział robót kobiecych wystąpił mniej pomyślnie; wyrobom brakło tutaj wykwintniejszego smaku. Raz też należałoby zwalczyć wybryki niegustownych robótek i haftów zniżających poziom estetyczny i narażających tylko na stratę czasu i atłasu.

Wyszła świeżo w Pelplinie książeczka uwita ze skromnych odcinków pierwotnie zamieszczonych w wybornie redagowanym *Pielgrzymie* i ogólne wywołała zajęcie. Pod tytułem *Obrazków Rybackich* były pleban na półwyspie Heli, X. Hieronim Gołębiewski, zapoznał nas z tym wysuniętym posterunkiem mowy i obyczaju, utrwalającym dawną tradycyą praw do Baltyku. Zniemczył się portowy Gdańsk, zniemczyły handlowe wybrzeża, a ten wązki cypel, wchodzący w morze, zachował ludność czysto-polską, rozsiadłą w czterech wioskach o charakterze rodzimym, oczywiście, z uwzględnieniem miejscowych stosunków. Mieszkańcy półwyspu nazywają poprostu swą ziemię *Rybakami*, od jedynego tutejszych osadników zajęcia. Ciasno im na niepewnym, piaszczystym gruncie, podmywanym przez falę, a jednak nie zmieniają miejsca pobytu: owszem, kochają wązką wstęgę lądu pod swemi stopami, a wioski Bór, Chałupy, Kusfeld i Jastarnia, rosną w liczbę dusz i domów kleconych z rozbitych masztów i napływowych desek i belek. Nawet kościół parafialny nieinaczej wygląda, rozmiarami tylko górując nad mieszkaniami wiernych. Ozdobą nabożeństw w tej ubogiej świątyni jest słynący powszechnie śpiew rybacki, nie uczony, a zachowujący tradycyą i czystość gregoryańskich pieni. Nieprzeliczona liczba kolend i pieśni pobożnych stanowi duchowy zapas miejscowego ludu, skarbnicę jego moralną, bodaj całą literacką i estetyczną spuściznę. Śpiewają w kościele, śpiewają po domach, śpiewają na łodziach, śpiewają przy naprawianiu sieci, a zawsze w sposób właściwy, falujący, rozkołysany, jak bałwany morza. Innych pieśni światowych nie mają i nie znają; a ciągłe rybackiego rzemiosła niebezpieczeństwa potęgują pobożność rodzinną, ciągłą potrzebą uciekania się pod obronę i opiekę nieba. Mówią czystszą od sąsiednich Kaszubów polszczyzną, z pewnemi tylko charakterystycznemi odmianami. A więc odzież tu *ruchnem*, mowa *gwarą*, buty *skórzniami*. Skrócenia stanowią naczelną charakterystykę języka Rybaków, a więc wytrącają samogłoski i mówią: rach*unk*, skowro*nk*, state*czk*, po*ldnie*; zmieniają też męzkie końcówki na żeńskie, np. z Bog*ą*, z mlek*ą*, z cukr*ą*. Język marynarski posiada nadto międzynarodową terminologią, którą i ubodzy nadbaltyccy rybacy przyjęli. Na piaskach półwyspu trudno jakąkolwiek urządzić kulturę; są tam, co najwięcej, kawałki łąk, znaczących dawniejsze rozbicie zrosłej dziś z sobą ziemi, która jeszcze w XVI stuleciu składała się z szeregu wysepek. Punkt to zresztą historyczny; tu bowiem za Władysława IV i Jana Kazimierza zbudowano dwa forty: Władysławowo i Kazimirowo, mające na celu współdziałanie przy obronie dalszych stanowisk około Pucka. Nie zostało nic z owych warowni, ale-bo też wiatry morskie zmiatają tu ludzkie roboty. Nawet mogiły grobowej tu usypać niepodobna, bo ją wicher szybko rozniesie; równają tedy piasek do poziomu, znacząc miejsce wiecznego spoczynku drewnianym krzyżykiem, który się nie tak prędko da wyrwać. Lud na Rybakach posiada wszystkie właściwości nadmorskich mieszkańców. Z barw nad wszystkie przekłada kolor morza i nieba, i czy w stroju i odzieży, czy w wewnętrznem malowaniu chat swoich, najwięcej modrego używa koloru. Żywność koniecznie muszą mieć bardzo słoną, i oczywiście, najwięcej jedzą ryb, mianowicie *breitlingów*,—rodzaj małych śledzi tym stronom właściwych, które też stanowią główne żniwo rybackiej ludności. Różne zaś połowy zajmują rok cały, zwłaszcza letnie miesiące. Mieszkańcy nadbrzeżni wiążą się w spółki, czyli t. zw. z hollenderska *matszoperye*. Każdy związek ma sobie wyznaczony kawałek wybrzeża, z którego wypływa i na który wyciąga niewód z łososiami. Po sześć razy na dzień zarzucają niewód, a gdy pora sprzyja, wyciągają za każdym razem do dwóch kóp łososi, nieraz dwudziestofuntowych, z któremi wyruszają następnie do Gdańska. Charakterystycznym rysem miejscowych stosunków jest udział w zarobku tych nawet, którzy nie mogli uczestniczyć w trudzie. Chorzy, wdowy i sieroty otrzymują część zysku, a to dzielenie się wszystkiem wyrabia wśród rybackiej ludności dziwnie zgodne usposobienie i miłość wzajemną. Po łososiach głównym połowem tych stron są stornie (*soles* po francuzku, *flondry* zniemiecka). Uciążliwszym on jest od poprzedniego, bo tylko nocną odbywa się porą. Później przychodzi czas na węgorze, chwytane w bębenki. Nareszcie poławiają się tu śledzie, *breitlingi* i *brzony*, a zimową porą polowanie na morskie cielęta przerywa jednostajność zacieśnionego mrozem życia rybackiego. Straszne tu bowiem niekiedy szaleją burze, i niejedne już okręty, zagrożone rozbiciem, zawdzięczyły ocaleniu załogi męztwu i poświęceniu tych polskich wieśniaków, którzy, z nieświadomem zasługi bohaterstwem, nieraz tu dokazują cudów odwagi.

Cóż znaczą jednostki wobec rozhukanego żywiołu? wspólnych sił trzeba, aby tu wyżyć i ztąd węzeł bratni silniej tu nawiązany i miłość bliźniego rzewniejszemi stwierdza się przykładami. Trzeźwość warunkiem bezpieczeństwa: nie piją tedy rybacy wódki, nie znają pijaństwa; czasem tylko chyba, przy obfitym połowie, folgują pragnieniu zaspakajanemu *barjerszem*, czyli piwem. Próżno tu szukać osobnych zabaw lub obyczajów: nie różnią się one od innych, właściwych ludowi tradycyi. Nawet sobótki odnaleźć można na dalekim baltyckiem wybrzeżu. Płoną na wysokich palach beczki smołowe, młodzież wylega na *sztrąd*, czyli brzeg morza; śpiewają pieśni i rozchodzą się spokojnie do domów.

Jednostajność nazwisk, właściwa wsiom naszym, i na tych kresach się stwierdza. Najwięcej tam Kąkolów i Konków, Budziszów i Pyprów, a doniedawna wyłączne używanie imion Jana i Józefa, Anny i Maryanny, wywoływało zamęt nieopisany, pomimo imionisk przydawanych dla rozróżnienia.

W tych prostych drewnianych chatach nie braknie czasem jakiego exotycznego przedmiotu, z dalekich podróży morskich przywiezionego. Szafki lub pudełka chińskie i japońskie sąsiadują ze starodawnemi piecami o malowniczych kaflach. Ozdobą zaś rybackiego domku bywają, nietylko obrazy święte, gęsto po ścianach umieszczone, ale i rozwieszone talerze, z Anglii sprowadzane, których ilość i jakość stanowi o dostatku mieszkańców.

Rozszerzyliśmy się nad książeczką dającą nam poznać cichy polski kącik nad Baltykiem, ponieważ nam te szczegóły dziwnie przemówiły do serca, napełniając je otuchą, bo jeśli germański piasek nie zawiał jeszcze owych polskich siół, toć i inne pola, dziś teutońskim naciskiem zagrożone, wytrzymają i przetrzymają obecną chwilę, przechowując w najdalsze czasy słowiański pierwiastek. Coraz liczniejsze drużyny cierpiących i chorych nie szukają gdzieindziej krzepiącego morza jeno w Sobotach, a ztamtąd do Jastarni niedaleko: kąpiący się goście mogą się zarazem duchowo wykąpać w rodzimem powietrzu, wśród poczciwych rybaków helskiego półwyspu. Kotwica to niewzruszona, rzucona w daleki Baltyk, a strzeżona przez proste i silne serca, które ani się ugiąć, ani też zapomnieć nie umieją... Tak nas mało, a jeszcze się nie znamy! Z tym wyrzutem sumienia zamykać potrzeba niewyszukaną książeczkę, która nas wprowadziła w ciasny światek nadbaltyckich rybaków.

Prussy Zachodnie straciły obecnie jednego ze swych przedniejszych obywateli, przedwcześnie i nagle zmarłego Józefa Gajewskiego. I wielkim majątkiem i wielkiem sercem zażywał on w tych stronach szczególnej powagi, świecił przykładem cnót chrześcijańskich i praktycznym, a pracowitym zmysłem administracyjnym w zarządzie obszernych włości. W jego ręku skupiły się dostatki najpierwszego w tamtych stronach rodu Działowskich. Jednocześnie W. Księztwo Poznańskie grzebało sędziwą matronę Eustachią hrabinę Ponińską, typ zacnej niewiasty, która „darmo swego nie jadła chleba", lecz mimo dostatków, krzątała się około dobra i składała napiękniejsze przykłady zabiegliwości i pracy, w zakresie domowych rządów i gospodarstwa, tworząc jednocześnie we Wrześni, we wspaniałej siedzibie swojej, pierwszorzędne ognisko towarzyskie.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Faust, tragedya *Göthego*, przełożył *Ludwik Jenike*; wydanie 1-e w *Ateneum* z r. 1887 i w osobnem odbiciu, wydanie drugie: Warszawa, nakład Teodora Paprockiego i Sp. 1889, druk Emila Skiwskiego (str. 244, 12-o). Porównanie nowego przekładu z dawniejszemi: Krajewskiego i Jezierskiego. **Wybór poezyi lirycznych Szyllera** w przekładzie polskim przez *A. A. K.*, odbicie z *Biblioteki Warszawskiej*, Warszawa, w drukarni W. Ratyńskiego (dawniej J. Bergera). str. 53, 8-o.

(Dalszy ciąg).

Pięć wierszy od „*Vergönnest*" poetyczniej brzmi u p. Krajewskiego:

Nie! Pozwoliłeś mi w jej pierś głęboką,
Jak w przyjaciela pierś, zapuścić oko;
Szeregi stworzeń roztaczasz przedemną,
Braci mi w całej wskazujesz przyrodzie:
W niemej roślinie, w powietrzu i w wodzie.

Mefistofeles (str. 173/4) dobrze szydzi z idealizmu Fausta—i jest to jedno z najszczęśliwszych miejsc przekładu. Nie potrzebnie później, z literalną już dokładnością, tłómaczy p. Jenike „Alpenfeld." U nas nasuwa to Alpy, jako imię własne; poniemiecku oznacza tylko „górzystość" wogóle. Przygoda działa się w Szwabii katolickiej, gdzie Alp niéma.—„*Und ich, der gottverhasste...*" czeka jeszcze na przekład; taksamo i śpiew przy kołowrotku.

Piękna odpowiedź Fausta na powątpiewanie Małgosi o religijności kochanka, w żadnym przekładzie nie zadawalnia znawcy oryginału. Pan Krajewski zaczyna dobrze, ale później odbiega od ścisłego textu i mąci składnią zdań wyrażanych; P. Jenike znowu (str. 181/2) przez zbytnią pożądliwość podobieństwa formalnego wprowadza niby filozoficzne, ale niesmaczne, określniki „wszechogarniający, wszechpodtrzymujący", i wogóle jest sztywnym, drewnianym. Dalej już Małgosia dobrze wyraża swój wstręt do Mefistofelesa (str. 183/4). Są miejsca poprawne na str. 185 „O, drogi mój!..." — „Jak to dawniej potępiałam śmiało..." (str. 189). Pojąć nie można, jakim sposobem tłómacz tak doświadczony, mający za sobą szereg prac tak starannie wykonanych, mógł dwa ostatnie wiersze Małgosi przy studni zbić w taką kupę wyrazów:

Lecz to, co w złego mnie popchnęło matnie,
Tak było błogie i *dodatnie*!

Ostatni wyraz, wzięty chyba z arytmetyki, zastępuje niemiecki „*gut*," „błogie" zaś ma być równoważnikiem „*lieb*." W pierwotnym przekładzie stało: „dobre, błogie, bratnie". Poprawienie było koniecznem, ale nie takie, ktoreby psuło, zamiast naprawiać. Lepiej już poradził sobie p. Jezierski:

Lecz wszystko, co mnie ku hańbie pędziło,
Mój Boże, tchnęło tak błogo, tak miło!

I w „*Meine Ruh' ist hin*" dosłowność i rytmiczność wyższa u p. Jezierskiego (str. 131/2). Śpiewka przy cytrze składna i lekka. Na str. 104 nie potrzebny dodatek: „tam przynajmniej etykieta mniejsza." Przekleństwo Walentego niezgorsze; ale i tu znowu samowolne dwa wtręty: „Wszak każdy zbiera, co zasieje" i „A teraz, gdy tak zrządził los" (str. 199), a ostatni dwuwiersz przekręcony:

Ich gehe durch den Todesschlaf
Zu Gott ein als Soldat und brav.

Jędrna ta marszruta do nieba znika, zostaje tylko:

...żołnierz nieskalany niczem
Przed Boga mogę stawić się obliczem.

W katedrze zły duch dobrze szepcze do ucha pokutnicy:

Jakże było ci inaczej,
Kiedy, niewinności pełna,
Szłaś swobodnie do ołtarza
I z książeczki swej zużytej
Szepcząc pacierze,
Na poły Boga,
Na poły psoty dziecinne
Miałaś w serduszku?

Zamiast „popielnej ciszy“ (str. 201) lepszy byłby: „spokój popiołów“ (*Aschenruhe*).

W złotem weselu Oberona i Tytanii dobrze płynie czterowiersz:

Gdy mąż zrzędzi żona łaje,
Wysłać ich dla zgody:
Jego w południowe kraje,
Ją gdzie wieczne lody.

Zato Xenie—przypominające wspólną działalność Schillera i Goethego, słabe, a ex-duch Wieku, opuszczając przymiotnik „niemiecki“ zmienia znaczenie i samej przestronności na Parnasie.

Scenę więzienną ostrożnie, z rzetelną już pobożnością, przeniósł tłómacz do naszej mowy; szkoda tylko, że ostatnie, tak psychologicznie głębokie, oderwanie się Małgosi od Fausta zepsuł dodatkiem: „Co z ciemni się do światła rwie.“ U p. Krajewskiego tak się dziewczyna przytula do Boga:

Jam Twoja, Ojcze! Tyś zbawienie moje!
Zastępy aniołów błogosławione,
Stańcie przy mnie na moję obronę!
Henryku, ja się Ciebie boję.

Ostatni wiersz powtarza się dosłownie u pana Jenikego.

Powyższy przegląd nie mógł, oczywiście, ogarnąć wszystkiego, co zarówno dodatnio, jak ujemnie wystąpiło przed myśl krytyczną; sądzę jednak, że myśl ta nie pominęła żadnego z lepszych ustępów przekładu. Po odważeniu wszelkich *za* i *przeciw* wytwarza się w niej sąd, że pierwotny przekład nie był dość szczęsnym, a poprawiony zamało miał czasu, aby mógł skorzystać z tego całkowitego nakładu pracy, na jaki szanownego tłómacza stać było. Gdyby poprawki, które przekładowo tylko wskazałem na początku niniejszego rozbioru, przy zestawieniu pierwszego wydania z drugiem, były liczniejsze i głębsze, mniej byłoby tych, których przekład ostatecznie dziś jeszcze potrzebuje, aby stanąć na wysokości arcydzieła literatury powszechnej. Nie tracę nadziei, że *saepe stylum vertas* znajdzie jeszcze zastosowanie i do drugiego wydania przekładu, i nie wątpię, że wtedy otrzyma mowa nasza opracowanie zadawalniające już i samego tłómacza i czytelnika—i wreszcie krytykę, na której surowość u nas skarżyć się nie można, bo i sam p. Jenike otrzymał za swą pracę, dotychczas już dokonaną, niejednę, gorącą nawet, pochwałę.

(Dokończenie nastąpi)

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, d. 1 Marca 1889 r.

Polityczny wertep.—Nowe ministeryum.—Prognoza.—Boulanger i jego sprawa.—Posiedzenie Akademii. — Przyjęcie Claretie'go. — Fiziognomia zgromadzenia — Przemówienie p. Renana.—Niespodzianka.—Gniew republikanów. — *Margrabina*, nowa komedya Wiktoryna Sardou. — *Życie i śmierć X. Darboy*, przez X. Foulon'a, arcybiskupa lugduńskiego.— Jeszcze w Panteonie. Inauguracya posągu J. J. Rousseau.

(Dokończenie).

Ta definicya, tak sprawiedliwa i jasna, mogła być zastosowaną natychmiast do siedzącego tuż obok kollegi prelegenta, do p. Sardou, którego *Margrabina*, nowa komedya w 3-ch aktach, roztacza swoją zaszarganą przeszłość na scenie Teatru Veaudeville'u. Wszak to jest najdosadniejsze malowidło tutejszego śmietnika — *natura* w najszerszem znaczeniu słowa.

Zamęt i anarchia jest wszędzie. Oddychamy i żyjemy w tym żywiole. Anarchia—wołamy ze zgrozą—ale któż dziś nie jest choć trochę anarchistą? kogoż to dziś nie drażni i nie wyprowadza z cierpliwości stary autorament władzy? któż nie czuje w głębi niedowiarstwa, wobec okrzyczanej legalności,—ironii wobec pewnych zasad? Każdy ze sceptyków jest wspólnikiem tego zwichnięcia. Najście tej strasznej szarańczy, która się zowie powszechnem zwątpieniem, zniszczyło wszystko jeszcze przed przyjściem anarchizmu. Któż jeszcze w coś wierzy, ale z tą wiarą posuniętą aż do heroizmu? któż wierzy aż do śmierci, aż do męczeństwa, *usque ad fine* ? Tensam Renan powiedział dosłownie: „Każdy męczennik jest oszukanym”. Wobec zobojętnienia religijnego, tak powszechnego dzisiaj, wobec rozprzężenia politycznego i wobec etyki filozofów nowożytnych, nic nie pozostaje w sercu człowieka, nic prócz własnego interessu, a ten, wiecznie żyjący i zgłodniały, wiecznie swą paszczę otwiera! Człowiek niewierzący, tylko w siebie samego, nie oczekuje pomocy i szczęścia, tylko od siebie samego. Alfons Daudet powiedział gdzieś sprawiedliwie, że „widoczne jest dziś to pęknięcie, które się zarysowało od góry do dołu społeczności europejskiej.” A właśnie jest to jedno z tych pęknięć, których nie potrafią skleić naprawiacze uliczni porcelany i—konstytucyi. W takim rozstroju, nie trzeba się dziwić, że i p. Sardou do tego pęknięcia się wcisnął i z kolei stara się je dalej jeszcze rozsadzić, rozszerzyć.

Margrabina, ta nowa komedya Sardou'a, jestto ów kwiat błyszczący Renana, wyrosły na śmietniku... Zawsze to tensam temat nowożytnej szkoły francuzkiej w literaturze: historya awanturnicy! Zdawało się, że przez pół wieku, zacząwszy od *Marion Delorme*, wyczerpano już wszystkie ścieki i rozcieki tego gnojowiska. Złudzenie! Oto p. Sardou znalazł coś nowego, a raczej odnowił, stary zużyty materyał tego przedstawienia na benefis niecnoty. Jego margrabina—to zwyczajna awanturnica, Lydia Garousse, która, dzięki rozrzutności jakiegoś księcia zdobywszy ogromną fortunę, kupuje sobie męża, a raczej tylko tytuł jego, by zostać tytułowaną i autentyczną margrabiną.

Potrzeba powiedzieć prawdę, że tego rodzaju fabuły nie są dziś rzadkie, ani tu, ani gdzieindziej. Chodzi tylko o to: w jaki sposób rozwiązują się tego rodzaju kombinacye, wobec świata, to jest wobec publiczności. Otóż p. Sardou tak kwestyą rozwiązał, że jego sztuka, a szczególnie jej akt III nie może być granym nigdzieindziej, chyba w jednym tylko Paryżu.

Wasz korrespondent zmuszony jest zatem poprzestać na tej luźnej wzmiance, niezgłębiając przedmiotu. Dosyć powiedzieć, że w demokratycznym, a raczej zdemokratyzowanym dziś, Rzymie, gdzie się ubiegają straszliwie za nowinkami paryzkiemi, aby mieć możność przedstawienia sztuki p. Sardou, musiano użyć heroicznego sposobu amputacyi i cały akt III przerobiono, wziąwszy go na uczciwe niby-to kopyto.

Aby uczciwszy uszy moich czytelników, dać im ogólny chociaż zarys tej sztuki, dosyć będzie przytoczyć ten mały wyjątek z samej komedyi. W chwili, gdy idzie właśnie o znalezienie dla naszej heroiny utytułowanego męża, spada, jak z nieba, na scenę inspektor towarzystwa ubezpieczeń, człowiek pewnego już wieku i który nie z jednego pieca chleb jadał. Zgaduje on łatwo o co tu rzecz chodzi: przedmiotem żądania jest mąż utytułowany, który zniknie natychmiast po ślubie, aby osiedlić się gdzieś daleko, na południowych brzegach Prowancyi, i żyć z rocznej pensyi dwudziestu pięciu tysięcy franków, wypłacanych mu przez żonę. — „A to ja mogę załatwić pani ten interes—powiada inspektor —Jestem magrabia Campanilla.”

Rzecz się układa, wszystko idzie, jak z płatka, aż do ślubu. Tu następują ciągania, z których p. Sardou wyprowadza swe lalki, za pomocą III-go aktu i rozwodu; ale ten akt III jest taki, że o nim, jak o Ryczywole, zamilczeć wolę!

Wśród tej ciągłej zawieruchy, wśród tego rozdrażnienia, które wyczerpuje siłę i cierpliwość, potrzeba szukać wypoczynku z dobrą i poczciwą książką w ręku. Na szczęście, i to się tu znajdzie, bo, jakkolwiek zaraza jest straszną, są przecież ludzie, którzy mogą oprzeć się temu prądowi złego i przynoszą nam to, co z powodzi dało się uratować.

Oto wyszła na świat książka, nietylko ważna, jako dzieło wyższego umysłu i dzielnego pióra, nietylko ciekawa ze względu na przedmiot, którym się zajmuje, ale zajmująca jeszcze jakby dzieło wyobraźni i zmyślenia biegłego w swej sztuce malarza. Jest to: *Historya życia i spraw X. Darb y Arcybiskupa Paryzkiego*, przez X. Foulon'a, Arcybiskupa Lugduńskiego.

X. Darboy, jak pamiętacie, jest to owa ofiara Kommuny Paryzkiej w 1871 r., jeden z zakładników tej straszliwej bandy zdziczałych i oszalałych opryszków, rozstrzelany bez sądu i prawa, niby dla odwetu na rządzie, który wtedy szturmował do stolicy dla wyrwania jej z rąk tych szaleńców. Życie jego i śmierć męczeńska jest jedną wielką i głęboką nauką dla nas wszystkich.

Arcybiskup Foulon, autor książki, jest nietylko wysoką i ważną osobistością Kościoła Katolickiego we Francyi, ale jest jeszcze jednym z najwykwintniejszych, najdoskonalszych pisarzów. W tej książce zamknął on wszystkie przymioty swej myśli i stylu. Nieposzlakowana niczem bezstronność, przejrzysta jasność wykładu, mistrzowska zwięzłość stylu: oto przymioty, które czynią z życia X. Darboy jakby najpiękniejszy wzór do naśladowania dla tych, którym dane być może mówić o takich mężach, jakim był całe swe życie i pozostał do ostatniej chwili, świątobliwy Arcybiskup Paryzki.

X. Darboy pochodził z ubogiej rodziny mieszczańskiej. Rodzice jego trzymali sklepik korzenny w małej mieścinie departamentu Wyższej Marny, Fayl-Billot. Urodził się d. 16 Stycznia 1813 r. Nie mogę tu opowiadać żywota tego świętego biskupa, musiałbym albowiem przepisać całą książkę X. Foulon'a; powiem tylko, że kiedy mianowany został Arcy-biskupem Paryzkim w 1862 r., po śmierci kardynała Morlot'a, zacna matka jego żyła jeszcze i, odebrawszy wiadomość o tej nominacyi, tknięta jakby wieszczym duchem, zawołała ze łzami: — „Piękne to bardzo, ale arcybiskupi Paryża krótko żyją.”

Małego był wzrostu, szczupły i wątłej konstytucyi, ale była to dusza olbrzyma w ubogiem ciele. Uczony głęboko, był niestrudzonym w pracy. Pisarz pierwszorzędnego talentu, prowadził apostolstwo kościoła we Francyi. Człowiek niezmiernej wiary, był kapłanem wzorowym pod każdym względem—gotów na wszelkie poświęcenia i na śmierć! W młodości już, będąc dopiero wikaryuszem w Langres, jakby przeczuwając przyszłe swe losy, pisał do jednego ze swych przyjaciół: „Będę się starał, tak postępować zawsze, abym nie był spodlonym w obliczu Boga, i spodziewam się, że za jego łaską wygłoszę wiarę moję nawet na rusztowaniu!” Zobaczymy zaraz, jak się ta przepowiednia sprawdziła. Często potem powtarzał:—„Ja, cobym był tak szczęśliwy oddać życie moje za moje przekonania!”

Śmiało i regularnie przeszedł wszystkie stopnie, aż do stolicy arcybiskupiej, na której zasiadł w Paryżu. Potrzeba czytać w książce X. Foulona, ten niezrównany żywot pasterza. My śpieszmy do straszliwego dramatu, który przeciął pasmo tak pięknego życia...

W czasie Kommuny, rząd i wszyscy, którzy otaczali arcybiskupa, błagali go, aby opuścił Paryż i udał do Wersalu. — „Nie—odpowiedział stanowczo słowami Tacyta. — Biskup powinien umieć umierać — i umrzeć stojąc na swej posadzie.” D. 4-go Kwietnia 1871 r., stało się zadość gorącym życzeniom tej wzniosłej duszy. Przytrzymano go i wrzucono do więzienia potępionych na śmierć, wraz z kilku osobami z duchowieństwa i magistratury...

Chory i cierpiący, nie upadł na duchu i odrzucił wszelkie środki, które mu podawano do ucieczki.—„Nie—wołał.—Biją się, mordują! O! czemuż

nie mogę, jak ś. p. X. d'Affre, wstąpić na barykady, aby wstrzymać tę bratobójczą walkę—i jak on umrzeć!"

Nakoniec, o świcie d. 25 Maja, przyszli oprawcy i rozpoczęli w więzieniu de la Roquette swój zbrodniczy appel. Na ich brutalne wezwanie: „Obywatel Darboy" — arcybiskup odpowiedział spokojnie: — „Obecny" — i wyszedł ze swej celi, równie jak p. Bonjean, X. Deguerry i inni. Ruszono w drogę i na zawrocie ulicy, widząc zebrane tłumy, arcybiskup podniósł ramię i krzyżem świętym dał błogosławieństwo.

— A no, dosyć tych błogosławieństw i modłów — ozwał się jeden z konfederatów—ruszaj, naprzód, klecho!—A kiedy osłabiony i chwiejący się kapłan nie szedł dość śpiesznie, tensam opryszek tak go silnie kolbą uderzył w plecy, że go powalił na ziemię. X. Darboy nie byłby się dowlókł do swej kalwaryi, gdyby się nie oparł na podanem mu ramieniu prezydenta p. Bonjean. W kilka chwil potem rozległ się strzał plutonowy. Był to ostatni akt tragedyi.

Po tym śmiertelnym wystrzale, kiedy towarzysze padli już martwi na ziemię, arcybiskup, z podniesionem ramieniem, jakby do ostatecznego błogosławieństwa, stał oparty o ścianę muru — „A! krzyknął konfederat nazwiskiem Lolioc—ty jeszcze dajesz błogosławieństwo! Masz: oto moje!"— i strzelił mu w piersi. Ale X. Darboy nie padł i po tym strzale: musieli go dobić kolbami i bagnetami. — „Nie chciał umierać — mówił jeden z oprawców jego później — potrzykroć powstał z ziemi i strach mnie zaczął przejmować!"

Ale dosyć tych bolesnych wyciągów, bo od łez ćmi się w oczach. Czytajcie, tłómaczcie tę książkę,—mówię wam,—wy wszyscy, co macie wiarę i serce—i uczcie się jak to należy umierać za wiarę i prawdę!... a będziecie wdzięczni kronikarzowi.

Kiedy już jesteśmy na tej bolesnej drodze, *Via dolorosa*, zajdźmy do owego sławnego Panteonu Paryzkiego, o którym mówiłem już wam dawniej. Po owych pamiętnych przenosinach Baudina, mamy teraz jakby ostateczną konsekracyą, (jeśli wolno użyć tego wyrażenia mówiąc o takiej rzeczy), laicyzacyi (*laïcisation*)—ażem się zakrztusił tym neologizmem gallikańskim; niech będzie już lepiej: uświecczenie—Panteonu, kiedy już dawniej próbowano zażyć go z tej beczki, przy składaniu w katakumbach trumny Wiktora Hugo a następnie Baudina. Jakiś mimowolny respekt utrzymywał jeszcze tych ludzi w granicach przyzwoitości; znali jeszcze *mores* i czuli, że byli w kościele... Trzymali jeszcze czapki w rękach; mówili półgłosem, a nawał wianków nadawał ceremonii odbywającej się w olbrzymiej świątyni, jakby charakter religijnego obchodu.

Tymczasem d. 3-go Lutego, zupełnie, jakby w teatrze lub gdzieś na placu publicznym, zebrała się garść ludzi, w płaszczach, w futrach, bo było okrutne zimno, w kapeluszach na głowie; mównice, ławy. Co oni tu robią z cygarami w gębach, gwarząc, krzycząc, szastając się, jakby na giełdzie?

Była to inauguracya pomnika J. J. Rousseau. Ale gdzież jest ten Rousseau?—pytają się jedni drugich. Otóż ten sławny posąg został nazewnątrz, na placu, obok Panteonu!—Dlaczego?—pyta się każdy, lecz nikt na to odpowiedzi nie daje. Jest to dzieło rzeźbiarza Berthet'a. Statua bronzowa nadnaturalnej wielkości, prezentuje się nieźle, chociaż nie ma nic, coby wychodziło nad mierność; ale niech żyje mierność! Rousseau stojący trzyma w lewej ręce kapelusz, ogromną laskę i manuskrypt, i rozmyśla chyba nad tem, czy go wprowadzą kiedy do wnętrza Panteonu, czy zostanie nazewnątrz? Mniejsza o to! Uderzono w trąby— i Marselieza zagrzmiała pod ogromną kopułą, rozdzierając uszy słuchaczów. Na szczęście, delegacya rady miejskiej i delegacye wszelkich stowarzyszeń czekają, aby je przypuszczono do słowa: a więc ucichła muzyka, i oto jeden z ławników ratusza zawiadamia publiczność, że 14-go przyszłego Lipca odbędzie się tu pewien rodzaj reprezentacyi—„La Marseillaise en action". Dosyć, że oni z wszystkiego muszą zrobić komedyą! Co za szarlatany!

— Uciszcie się, panowie!—woła woźny—i stała się cisza, jak w kościele. Pierwszy wyłazi na mównicę niejaki p. Steeg, zdaje się pastor protestancki, poseł Girondy i prezydent komitetu, który ofiarował posąg Paryżowi. — „Rousseau—powiada — to jeden z Ojców Rewolucyi!" — i spodziewa się p. Steeg—że nim zostanie na wieki.

Odpowiada mu p. Darlot, prezydent rady miejskiej: — „Ojcem Rewolucyi, był niezaprzeczenie Rousseau."

Na szczęście, aby nas wyratować z kommunałów, wstępuje na mównicę Juliusz Simon. Ponieważ to teatr, więc publiczność wita go potrójnym oklaskiem, pewna, że ten głupstwa nie powie. Mówca tymczasem wyciąga myckę z kieszeni i poufale, zwolna, wkłada ją sobie na głowę. Francuzi go nowym witają oklaskiem. Żałuję, że nie mam miejsca na streszczenie choćby pięknej mowy Simona, gdyż biegły mówca odpowiedział dzielnie zadaniu. O reszcie niéma co mówić.

Przepraszam: jeden z ławników, zakatarzony okrutnie, wlazłszy na mównicę, zaczął tak kaszlać i kichać, że tłum, złożywszy mu hałaśliwe życzenia zdrowia, wśród śmiechu i wesołości rozszedł się do domów.

Y

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności** wydaje wśród ciężkiej tegorocznej zimy ciepłą strawę ubogim rodzinom. Z dobrodziejstwa tego korzysta 420 rodzin. Osoby dobrego serca, któreby chciały przyłożyć się do tego dzieła miłosierdzia, nadsyłając dary w naturze, jak jarzyny, chleb i tym podobne przedmioty, mogą przesyłać te ofiary, które *Towarzystwo* przyjmuje z wielką wdzięcznością, do lokali kuchennych: przy ulicy Grzybowskiej N 28, przy ulicy Fabrycznej N 5, przy ulicy Drewnianej N 11, oraz na Pradze, na ręce opiekuna Piaszczyńskiego, w domu pod N 380.

— **Ostatni ze starego rodu**, wnuk ostatniego wojewody mińskiego, Adam Chmara, szlachetny, rozumny człowiek zmarł we wsi Siemkowo, starem gnieździe rodzinnem, w powiecie mińskim, gdzie zgromadził znaną bibliotekę i archiwum bardzo szacowne. Uczeń uniwersytetu dorpackiego, posiadał wyższą już naukę i wiedzę rzeczy swoich, a imał się też i pióra: w *Słowniku Geograficznym* drukował kilka prac otyle cennych, że Filip Sulimierski dziękował mu za nie w przedmowie do pierwszego tomu *Słownika*. Do zasług obywatelskich zaliczyć mu to należy, że bogatą spuściznę rodową, otrzymawszy zruinowaną, pracowitym trudem z upadku podźwignął, stary pałac odnowił, nagromadzone w nim zbiory uporządkował i pomnożył, przy ojcowiźnie się utrzymał. Umarł, nie zostawiając dziedzica. Rodził się z Kostrowickiej.

— **Teatr krakowski** wystawił z powieści Sienkiewicza utworzoną komedyą: „P. Wołodyjowski."

— **Na konkurs imienia Lindego**, fundacyi jego córki, p. Ludwiki z Lindych Góreckiej, dostawiono dwie prace: d-ra Cienciały, regenta w Cieszynie: „O słowniku wyrazów używanych w Księstwie cieszyńskiem" i St. Ramułta: „Słownik wyrazów pomorskich." Komitet do oceny tych dzieł, wyszły z łona Akademii Krakowskiej, składają: prof. Małecki, Malinowski, Wisłocki i Tretiak.

— **Poeta czeski** Jarosław Vrchlicki zamieścił w „Listach niedzielnych," które są dodatkiem do czasopisma „Hlas Naroda" bardzo pięknie i głęboko napisane studya nad wiekiem XIX. Znajduje się tam streszczenie książki Wł. Mickiewicza: „Adam Mickiewicz, sa vie et son oeuvre."

— **Żegluga powietrzna** liczy już wiek istnienia; przecież nie znaleziono dotąd sposobu kierowania się według woli swojej wśród przestworów nadziemskich. Officerowie francuzcy pracowali nad tem zagadnieniem od czasu wojny niemieckiej, i wiele obiecujące rezultaty ich poszukiwań ogłosiła świeżo książka kapitana inżenieryi, Espitalier: „Ballons et leur emploi à la guerre."

— **Stowarzyszenie artystów czeskich** zamierza otworzyć w Pradze d. 15 Kwietnia b. r. wystawę obrazów. Termin nadsyłania utworów upływa w dniu 31 bieżącego miesiąca.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości o wakującem stypendyum imienia **Mikołaja Kopernika** w kwocie rub. 104 kop. 5, dla młodzieńca urodzonego w Królestwie Polskiem, bez różnicy wyznania i pochodzenia, mającego nie mniej niż 16 i nie więcej nad 21 lat wieku i pragnącego kształcić się w malarstwie w kraju lub za granicą. Pierwszeństwo mają kandydaci nie pobierający innego stypendyum. Pragnący ubiegać się o powyższe stypendyum winni złożyć Komitetowi Towarzystwa najpóźniej do dnia 1-go Maja r. b. podania na papierze bez stempla z załączeniem następujących dowodów: 1) metryki urodzenia; 2) świadectwa niezamożności; 3) świadectwa o pobieraniu nauk w zakładzie naukowym Sztuk Pięknych; 4) studyum, poświadczonego przez zwierzchność szkolną, iż jest wykonane przez podającego kandydata i 5) przebywający za granicą, oprócz powyższych dowodów, świadectwo Naczelnika właściwej gubernii o pozyskaniu paszportu na pobyt za granicą.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz" w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 17-ty i 18-ty powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marryat.

TREŚĆ: Pogawędka. — Dworzanin, przez Floryjana Łagowskiego. — Słowa a czyny, powieść przez Sewera. — Przegląd teatralny przez St. Krzemińskiego. — Korrespondencya zagraniczna. — Przegląd Piśmienniczy, przez St. Krzemińskiego. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 17-ty i 18-ty powieści pod tytułem: Stargane życie, przez Florentynę Marryat. — Przegląd mód. — 28 wzorów ubiorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 8 Марта 1889 года.